

Czas znaczących przemian (2)

Rozdział 2

CZAS ZNACZĄCYCH PRZEMIAN

Kiedy człowiek zaczyna praktykować różdżkarstwo, koncentruje się na tym, czego szuka. Uczyłem się koncentracji, aby się odciąć od wszelkich zewnętrznych bodźców. Wiązało się to ze szczególnym wewnętrznym doświadczeniem. Miałem uczucie, jakby przede mną otwierały się nowe, nieznane obszary duchowego poznania. Potem w jakimś momencie uświadomiłem sobie, że skądś napływa i wypełnia mnie niezwykle spokoj. Byłem coraz bardziej wyciszony, ufny i radosny, jakbym się wznosił ponad wszystkie codzienne sprawy, jakbym widział więcej i dalej. Napełniała mnie pewność, że wszystkie problemy da się rozwiązać i wszystkie sprawy da się załatwić. Zacząłem, jak mi się zdawało, żyć na innym, wyższym duchowym poziomie.

Moi rodzice mieszkają w Werskiej Bytiszce, opodal której jest zamczysko z ogromną wieżą; zamczysko, z którym wiąże się kilkadziesiąt tajemniczych opowieści, zagadkowych historii i groźnych przepowiedni. Jedna z krążących opowieści mówi, że w wieku XIII miał w nim siedzibę Zakon Templariuszy. Wiedzieliśmy, że był to mistyczny zakon, który na swych zgromadzeniach praktykował tajemnicze obrzędy. Doszliśmy z kolegami do wniosku, że w zamczysku są na pewno jakieś tajemnicze komnaty używane w tamtym czasie. Wieści o tym krążyły wśród ludzi, ale niewielu dawało im wiarę. Dotąd nikt nie trafił na ich ślad.

Zafascynowany nowo odkrytymi możliwościami, wraz z moim bratem, którego również wprowadziłem w te praktyki (on także umiał posługiwać się różdżkami) postanowiliśmy stwierdzić, ile w tym jest prawdy. Wcielając postanowienie w czyn pewnego wieczora około godziny 21.00 wybraliśmy się do zamczyska.

Leżał śnieg, a na niebie świecił jasny księżyc, noc taka trochę romantyczna, a my szliśmy drogą z Werskiej Bytiszki w górę, w kierunku bramy zamku. Gdy idziecie tamtą drogą, to po prawej i lewej stronie macie otwarte pole. To z lewej nazywa się „Na Straconym”, bo podobno kiedyś przepadł na nim tajemniczo powóz z końmi. Tam właśnie postanowiliśmy rozpocząć poszukiwania zakładając, że w tym miejscu znajdują się jakieś podziemne pieczary, co zresztą zdawała się sugerować wspomniana nazwa. Byliśmy na miejscu. Wziąłem do rąk różdżki, i idąc powoli myślałem o podziemnych pieczarach, będących dziełem ludzi. W tym terenie występują skały krasowe rozciągające się od Leżanek aż do Trzebina, i jest w nich wiele jaskiń. Mnie jednak nie interesowały jaskinie naturalne ale tylko pomieszczenia wykonane przez ludzi. Tak więc wziąłem różdżki i ruszyłem wolno przez pole.

W pewnym momencie, zanim jeszcze zareagowały różdżki, odczułem dosyć intensywne, a równocześnie bardzo przyjemne mrowienie w plecach między łopatkami. Nie zwracałem jednak na nie większej uwagi, koncentrując się na moim zadaniu. I nagle różdżki zaczęły mi się wykręcać w rękach, i to tak silnie, że wbrew mojej woli zaciśnięte dłonie wykręciły się wraz z nimi. Reakcja była tak silna, iż nie miałem najmniejszej wątpliwości, że te pomieszczenia tam są. Odwróciłem głowę i zawołałem do brata:

– „Wyobraź sobie, że te pomieszczenia tam są!!!... No nie, to jest fantastyczne!”

Byliśmy przeświadczeni, że metoda, którą stosujemy, opiera się na jakichś konkretnych, dotąd jeszcze nie znanych nauce prawach fizycznych.

Podczas kolejnych weekendów staraliśmy się poznać jaki jest rozkład podziemnych pomieszczeń oraz znaleźć do nich wejście. Chodziliśmy więc ciągle po tym polu i wymierzali. W zamku tymczasem trwał remont, co umożliwiło nam penetrację innych jego pomieszczeń. Traktowaliśmy to wszystko jak świetną i

wciągającą przygodę. Ale pewnego dnia wydarzyło się coś, co kazało nam spojrzeć na sprawę innymi oczami.

Chcąc uściślić nasze pomiary, szedłem polem z różdżkami w wyciągniętych rękach i z zamkniętymi oczami. Było to konieczne dla lepszej koncentracji, tym bardziej, że od drogi dobiegał hałas przejeżdżających samochodów, a wokół śpiewały ptaki. Tego dnia chciałem dokładnie oznaczyć położenie jednej z większych pieczar, której istnienie odkryłem już wcześniej.

Kiedy macie zamknięte oczy, to oczywiście nic nie widzicie; przed oczami pulsuje ciemność. Jeszcze ciemniej jest, gdy przebywacie w całkowicie ciemnym pomieszczeniu. A gdyby nagle ktoś zapalił wtedy światło, dostrzegacie wszystko kontrastowo i w kolorach. Przypominam rzeczy znane, abyście dokładnie zrozumieli moje doznanie.

Szedłem więc przez to pole, nic nie widziałem i nagle z ciemności wyszedłem na oświetloną przestrzeń. Była to podziemna pieczara, prostopadła do kierunku mojej drogi. Zanim dotarłem do przeciwległej ściany, w pewnym momencie poczułem w nosie zapach nie wietrzonego od stuleci, pełnego zaduchu powietrza, a w ścianie, do której się zbliżałem, ujrzałem mokre, oślizłe kamienie, po których ściekały krople wody, zaś pomiędzy kamieni wystawały korzonki roślin... Zanim zorientowałem się, co ja naprawdę widzę, wszedłem w przeciwległą ścianę i znowu zapanowała całkowita ciemność. Znowu nic nie widziałem. Głęboko poruszony zawołałem:

– „Bracie, wyobraź sobie, że ja przed chwilą zobaczyłem jaskinię, którą wcześniej wskazywały mi różdżki!”

Byliśmy tym rozemocjonowani.

Dyskutując, doszliśmy do przekonania, że na ścieżce, którą podążamy muszą istnieć kolejne etapy poznania i gdy ktoś wzniesie się na wyższy poziom świadomości, to pewne rzeczy może również *oglądać*.

Nasze doświadczenia trwały nadal, a nad rozwiązaniem zagadki pracowaliśmy wspólnie z Józefem. Postanowiliśmy odkryć istotę tych zjawisk rozumiejąc, że gdy poznamy prawa rządzące nimi, jeszcze lepiej potrafimy wykorzystać nasze zdolności. Nie łączyliśmy tego z religią, co wynikało z naszego wychowania i światopoglądu. W wojsku pełniłem funkcję przewodniczącego Związku Młodzieży Socjalistycznej i byłem zaprzysiężonym materialistą. Nie wierzyłem w żadne bajki o duchach, wędrownkach dusz, czy czymś takim. Byłem przekonany, że wszystko podlega prawom natury, a że wielu z tych praw jeszcze nie znamy, pewne zjawiska wydają się nam <cudowne>. Wierzyłem, że nadejdzie czas, gdy wszystko zostanie wyjaśnione w oparciu o ścisłe zasady. Stąd we wszystkim, co się działo, staraliśmy się dostrzec określony porządek i system.

W tym czasie, a mieszkaliśmy wówczas w Brnie, w obu naszych mieszkaniach – moim i Józefa – zaczęły się dziać bardzo dziwne rzeczy.

Ktoś chodził po podłodze.

Szczególnie u mnie w domu, jako że nie ma tam żadnych wykładzin, było bardzo wyraźnie słychać. Byłem w tym mieszkaniu sam – mieszkalem tylko z babcią ale ona często wychodziła na zakupy – byłem więc sam i w pewnej chwili usłyszałem wyraźne kroki w sąsiednim pokoju. Wstałem, wszedłem tam i zapaliłem światło, gdyż z powodu zaciągniętych zasłon wewnątrz panował półmrok. Pokój ten nie ma żadnych zakamarków, rozejrzałem się, ale... nie było nikogo! Na podłodze nie było dywanu, tylko beton, więc słyszałem te kroki bardzo wyraźnie; ktoś, kto szedł, kierował się w moją stronę, potem zawracał i znów szedł do mnie. Słyszałem ale nikogo nie widziałem.

Chociaż byłem tym zaintrygowany, nie zaniepokoiło mnie to, i nie przywiązywałem do tego zdarzenia większej uwagi. Tłumaczyłem sobie, że jeżeli ktoś zajmuje się zjawiskami metafizycznymi, musi być przygotowany na różne niespodzianki. Prawdopodobnie są to jakieś uboczne efekty naszych doświadczeń

i wcześniej czy później potrafimy je racjonalnie wyjaśnić.

W tym samym czasie zauważyliśmy też coś, co nie było nam obojętne. Nasi koledzy zaczęli stronić ode mnie i od Józefa. Po raz pierwszy uwidoczniło się to wyraźnie na obozie speleologów. Siedzieliśmy przy ognisku na kłodach ustawionych w kształt podkowy. Cała grupa chłopaków tłoczyła się na dwóch ramionach, a my z Józefem zupełnie sami, siedzieliśmy na trzecim. Wtedy skojarzyliśmy i inne fakty, z których wynikało, że coraz bardziej się od nas dystansują. Zastanawiałem się nad przyczynami. Przecież nic złego im nie zrobiliśmy. Wkrótce potem najpierw jakby z żartu, a wreszcie całkiem serio zaczęli nas nazywać <czarnoksiężnikami>. Zdarzyło się to po tym, jak pewnego razu Józef kładł karty i jednemu z kolegów powiedział, aby w przyszłym tygodniu zagrał w <totka>:

– „Karty mówią – powiedział – że wygrasz sporo pieniędzy”.

Kolega wysłał kupon i rzeczywiście wygrał coś ponad 10 tysięcy koron. Pomyślałem wtedy, że raczej powinniśmy się cieszyć ich sympatią, tymczasem oni coraz bardziej się od nas izolowali. Powiedziałem sobie wtedy, no cóż, nic na to nie poradzimy, człowiek musi być gotowy złożyć ofiarę na ołtarzu wiedzy. Przestaliśmy na to zwracać uwagę.

